

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

COLE

Księgarnia nie była najbardziej rozrywkowym miejscem na świecie. Łaziłem po niej przez kilka minut, rozglądając się za książkami, w których mogłoby być coś interesującego dla mnie, rysując stopą swoje imię na czerwonej wykładzinie i szukając płyty do puszczenia z głośników. Sklep pachniał Samem – albo on pachniał sklepem. Atrament i stary budynek, i coś bardziej liściastego niż kawa, ale mniej interesującego niż trawka. To wszystko było bardzo... uczone. Czułem się otoczony przez rozmowy, w których nie miałem ochoty uczestniczyć.

W końcu znalazłem książkę na temat tego, jak przetrwać w najgorszych życiowych sytuacjach i zacząłem ja kartkować, usadowiwszy się na stołku za ladą ze stopami na blacie obok kasy. W poradniku nie uwzględniono problemów takich jak: „Wilkołactwo” ani „Jak wrócić do siebie po nałogu”, ani nawet „Jak wytrzymać z samym sobą”.

Rozległo się ciche „dzyń”, ale nawet nie spojrzałem w stronę wejścia, zakładając, że to Sam.

– A co ty tutaj robisz?

Rozpoznałem ją po pogardliwym tonie głosu i zapachu perfum, jeszcze zanim podniosłem wzrok. Boże, ależ ona była seksowna. Jej usta wyglądały tak, jakby smakowały lukrecjowymi cukierkami. Jej tusz do rzęs był gęsty jak farba, a włosy dłuższe niż wcześniej – mógłbym owinąć ich pasma w kolorze lodowaty blond dwa razy wokół nadgarstka... Nie żebym wyobrażał sobie takie rzeczy...

Pozwoliła, by drzwi zamknęły się za nią powoli. Jej smakowite usta rozchyliły się nieco.

– Witamy w „Krzywej półce” – oświadczyłem, unosząc brew. – Czy szuka pani czegoś konkretnego? Nasz dział z poradnikami jest bardzo obszerny.

– Z pewnością coś o tym wiesz – rzuciła złośliwie.

Trzymała w dłoniach dwa papierowe kubki. Z impetem postawiła je na blacie, z dala od moich stóp. Przyjrzała mi się z wyższością. A może strachem? Czy Isabel Culpeper była zdolna do odczuwania lęku?

– Co, do cholery, myślał sobie Sam? Wiesz, że przez okna każdy może zobaczyć twoją twarz, prawda?

– To miły widok – zauważyłem.

– To musi być miłe, być tak beztroskim.

– To musi być miłe, tak bardzo przejmować się problemami innych ludzi.

Jakieś obce uczucie z wolna przepływało moimi żyłami. Uświadomiłem sobie, że to gniew. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio się wkurzyłem – to na pewni musiało mieć związek z moim ojcem – i nie mogłem sobie przypomnieć, jak należy się zachować w takiej sytuacji.

– Nie pogrywam z tobą – oznajmiła.

Spojrzałem na kubki, które przyniosła. Jeden dla niej, jeden dla Sama. Taka hojność wydawała się nietypowa dla Isabel, którą znałem.

– A pogrywałabyś z Samem? – zapytałem.

Isabel patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę, a potem potrząsnęła głową.

– Boże, czy mógłbyś być jeszcze mniej pewny siebie?

Odpowiedź na to pytanie zawsze brzmiała „tak”, ale nie byłem jej wdzięczny za podkreślanie moich mniej pociągających wad. Pochyliłem się, żeby lepiej przyjrzeć się kubkom, podczas gdy Isabel miażdżyła mnie morderczym wzrokiem. Usunąłem pokrywki i zbadałem zawartość. W jednym kubku było coś, co pachniało podejrzenie zdrowo. Zielona herbata albo końskie szczyny. W drugim była kawa. Wziąłem łyk.

Była gorzkawa i skomplikowana, z zaledwie wystarczającą ilością śmietanki i cukru, żeby w ogóle dało się ją pić.

– To – wycodziła Isabel – było moje.

Uśmiechnąłem się do niej szeroko. Nie miałem ochoty się uśmiechać, ale ukryłem rozczarowanie własną reakcją, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– A teraz jest moje. Co oznacza, że jesteśmy prawie kwita.

– Boże, Cole, co takiego? Kwita w związku z czym?

Spojrzałem na nią i czekałem, aż to do niej dotrze. Pięćdziesiąt punktów, jeśli załapie to w trzydzieści sekund. Dwadzieścia punktów, jeśli będzie potrzebowała minuty. Dziesięć, jeśli...

Isabel tylko skrzyżowała ramiona na piersi i wyjrzała przez okno, jakby czekała na atak paparazzich. O dziwo była tak wściekła, że aż mogłem to wyczuć. To podnieciło moje wilcze zmysły, ciarki przebiegły mi po skórze. Uśpione instynkty szeptały, żebym zareagował. Walka. Ucieczka. Żadne z tych rozwiązań nie wydawało mi się stosowne. Kiedy nic nie powiedziała, potrząsnąłem głową i przyłożyłem do ucha dłoń z odchylonym kciukiem i małym palcem, udając, że dzwonię.

– Ach – westchnęła Isabel i potrząsnęła głową. – Poważnie? Nadal? Chodzi o nieodebrane telefony? Daj spokój, Cole. Chyba nie myślałeś, że dam się w to wciągnąć. Jesteś toksyczny.

– Toksyczny? – powtórzyłem. Właściwie to skłamałbym, twierdząc, że mi to nie pochlebiło. Słowo „toksyczny” miało w sobie pociągającą siłę. – Tak, toksyczność to jedna z moich lepszych cech. Czy to dlatego, że się z tobą nie przespałem? Zabawne. Zazwyczaj dziewczyny są na mnie złe właśnie dlatego, że je przeleciałem.

Zaśmiała się tym swoim twardym, powściągliwym śmiechem: „Ha. Ha. Ha”. Jej obcasy zastukały, gdy wmaszerowała za ladę, żeby stanąć tuż obok mnie. Czułem na twarzy jej oddech, jej gniew był głośniejszy niż głos.

– Dwa dni temu byłem świadkiem, jak zwijasz się w spazmach i ślinisz z powodu tego, co wstrzyknąłeś sobie w żyłę. Wyciągnęłam cie z tej dziury raz. Teraz sama jestem na skraju i zaglądam do środka. Nie mogę być w pobliżu kogoś innego, kto też wisi nad przepaścią. Ciągniesz mnie za sobą w dół. A ja próbuję się wydostać.

I znowu to zrobiła. Ta odrobina szczerości z jej strony wytrąciła mnie z równowagi. Gniew, który wcześniej czułem, stał się dziwnie trudny do podtrzymania.

Zdjąłem nogi z blatu, powoli, jedną po drugiej, a potem obróciłem się na stołku przodem do niej. Nie odsunęła się, żeby zrobić mi miejsce. Wyzwanie. A może jednak oddanie.

– To kłamstwo – zaprotestowałem. – Znalazłaś mnie w tej norze tylko dlatego, że już sama w niej siedziałaś.

Stała tak blisko mnie, że czułem zapach jej szminki. Byłem boleśnie świadomy tego, że jej biodra znajdują się zaledwie kilka centymetrów od moich ud.

– Nie zamierzam patrzeć, jak się zabijasz – wyjaśniła Isabel. Milczeliśmy długo, wsłuchując się w ryk samochodu dostawczego, który przejechał ulicą. Patrzyła na moje usta, ale nagle odwróciła wzrok. – Boże, nie mogę tutaj zostać. Po prostu powiedz Samowi, że do niego zadzwonię.

Położyłem ręce na jej biodrach w momencie, gdy próbowała się odwrócić.

– Isabel – szepnąłem. Jeden z moich kciuków dotknął jej nagiej skóry tuż nad paskiem dżinsów. – Nie próbowałem się zabić.

– Tylko odlecieć? – Próbowała się wyszarpnąć, ale nie zwolniłem uchwytu. Nie trzymałem jej wystarczająco mocno, żeby móc ją powstrzymać, ale i ona nie wrywała się na tyle mocno, żeby uciec, więc dalej trwaliśmy w tej samej pozycji.

- Nie próbowałem odlecieć. Próbowałem przemienić się w wilka.
- Jak zwał tak zwał. To różnice semantyczne. – Isabel nie patrzyła teraz na mnie.

Puściłem ją i wstałem, tak że znaleźliśmy się twarzą w twarz. Nauczyłem się dawno temu, że najskuteczniejszą bronią w moim arsenale jest umiejętność naruszania przestrzeni osobistej innych ludzi. Dziewczyna uniosła twarz, żeby na mnie spojrzeć. Nasze oczy spotkały się i poczułem, jak wzbiera we mnie przekonanie, że mogę właśnie w tej chwili powiedzieć właściwą rzecz we właściwym miejscu i czasie, i że mogę ją skierować do właściwej osoby. To było coś, w co wierzyłem.

- Powiem to tylko raz, więc lepiej, żebyś mi uwierzyła. Szukam lekarstwa.